

Juliusz Wątroba

„Literaci”

Te trzy historyjki łączy wspólny mianownik (a nawet licznik!). Nie wiem, od której zacząć, bo wszystkie równoprawne i równie tragicomiczne. Więc tak na chybił trafił – choćby kulą w płot.

Pan Zenek ma 60 lat. Inteligentny, błyskotliwy, wszędzie go pełno. Robi szum koło siebie i lubi być w centrum uwagi, a w swoim środowisku, w niewielkiej mieścinie, jest wszystkim znanym „działaczem kulturalnym”, jak się w czasach słusznie minionych mówiło o szalonych ludziach pełnych pasji. Przebojowym, w miarę bezczelnym, z tupetem, załatwiający gdzie się tylko da i co się da – od dyrektora po burmistrza, od wsparcia duchowego po żywą gotówkę. Taki, co to jak wyrzuca go drzwiami, to wchodzi oknem. Organizuje wystawy malarstwa, zajęcia dla dzieci, a ostatnio nawet konkurs poezji! No właśnie, nie powiedziałem najważniejszego: pan Zenek od sześciu lat pisze wiersze! Zdobył nawet kilka wyróżnień w konkursach, co jest powodem dumy, z którą zresztą obnosi się jak paw ze swoją lirą albo indor z czerwonymi koralami. Jego megalomania rozwija się jak rozmarny w rzewnej piosence sprzed lat. I byłoby wszystko w porządku, gdyby nasz poeta nie zapragnął nagle zostać... prozaikiem. Napisał stustronicowy tekst prozą, wydał ładnie, z kolorowymi fotkami i na kredowym papierze w prywatnym mini wydawnictwku, i – na moje nieszczęście – uszczęśliwił mnie przesyłką poleconą, zawierającą pachnącą nowością książkę z kategorycznym żądaniem, bym napisał mu szczerze, co sądzę o jego dziele, najlepiej żeby była to pozytywna recenzja.

Gdy zacząłem czytać owe „dzieło”, resztki włosów stanęły mi dęba, a szczęka, ręce i inne członki opadły, bo rzeczywiście najprawdziej zdębiałem! Takiego nagromadzenia błędów wszelakich jeszcze w życiu nie spotkałem! Nie spotkałem też nigdy takich „metafor” (żeby dodatkowo podnieść literackość, Pan Zenek „dzieło” okraszał „prozą poetycką!”); wzbudzących to politowanie, to zażenowanie, to pusty śmiech wreszcie. Ze względu na chrześcijańskie miłosierdzie, nie będę cytował próbek tej radosnej, a żalostnej „twórczości”, choć diabeł mnie kusi, by i państwu sprawić wątpliwą „radość”. Już nawet myślałem, że coś jest ze mną nie w porządku, że to niemożliwe, więc poprosiłem córę (obciążoną genetycznie humanistkę po dwóch fakultetach), by rzuciła okiem na ową „pisaną sercem prozę” – jak podkreślił autor – i ołówkiem zaznaczyła błędy, jeśli takie zauważy. Po dwudziestu minutach moja pierwotna zwróciła książkę, mówiąc, że „takich bzdur nie będzie czytać”, a kilkanaście stron przez które przebrnęła zostało upstrzone dzięśiątkami, czy setkami podkreśleń całego wachlarza błędów. Odetchnąłem z ulgą, bo świadczyło to o tym, że ze mną wszystko w porządku, i że zgrozą równocześnie, że to jednak prawda!

Zgodnie z żądaniem autora, po głębokim namyśle, napisałem szczerze, że proza jest beznadziejna, z kardynalnymi błędami, których nie spotkałem nawet, oceniając prace dzieci z podstawówki oraz że nie wystarczy wrażliwość i wyobraźnia, by pisać. Potrzebna jest też choć elementarna wiedza o zasadach pisowni, bo proza to nie wierszyki, składające się z kilku słów, ale dziedzina, wymagająca znajomości warsztatu, czyli poprawnego posługiwania się polszczyzną! Dodałem też, że lepiej by było, gdyby tej książki nie pokazywał krytykom, bo jeśli którzy raczy ją przeczytać, może go skompromitować oraz ośmieszyć wydawcę, a tego przecież nikomu nie życzę! Odpisał, że nie takiej odpowiedzi się spodziewał i koniecznie musimy się spotkać.

Spotkaliśmy się w pubie. Rozmowa zaczęła się kleić, gdy wypiliśmy po kilka piw. Dopiero wtedy wyszło szydło z worka (proszę nie mieć złych skojarzeń z rzeczownikiem „Szydło!”). Zenek – przesłaliśmy na „ty” – przyznał się, że przed 42 lata ukończył tylko... zasadniczą szkołę budowlaną oraz że pracuje nad swoim rozwojem. Powiedziałem szczerze, że czytelnika nie obchodzi, co skończył, a czego nie skończył, tylko to, co zaproponował i ogłosił drukiem! Zadałem mu też najprostsze pytanie:

– Czemuś tego, na Boga, nie dał do korekty? Najwykleszej polonistce?

– Przecież dałem! – powiedział oburzony.

– Komu??? – byłem bezgranicznie zdumiony.

– Mojej znajomej poetce. Z Warszawy! Córce wybitnych aktorów, która się we mnie podkochuje – odpowiedział dumnie i z godnością osobistą nieszczęsny domorosły „literat”, jakby miejsce zamieszkania „recenzentki”, pochodzenie społeczne, tudzież stany emocjonalno-otumaniające miały świadczyć o jej profesjonalizmie.

Na odchodne Zenek pochwalił się, że kończy drugą powieść – erotyczną! O mało nie spadłem z krzesła. A że nie miało mi już co opaść (szczęka i członki!), ani stanąć dęba (resztki włosów), to tylko dusza załkała bezgłośnie i serce zatrzępotało ze zgrozy... Pożegnałem się spieszenie, zostawiając Zenka z kolejnym piwem i „snami o potędze” w błogim przeświadczeniu o niezwykłości własnego „talentu”.

Historyjka druga. Koło seniorów w wielkim mieście działało znakomicie: zajęcia, spotkania, kółka wszelakie (od tańca do różańca), wyjazdy na wycieczki... Jednak w pewnej chwili energiczna i operatywna pani prezes wymyśliła, że byłoby pięknie, gdyby ukazał się... tom poezji aktywnych, acz wcześniej urodzonych. Zwróciła się tedy na piśmie do szefa miejskiej kultury z kategorycznym żądaniem przyznania sporych pieniędzy na wydanie „znakomitej poezji”, jak zaznaczyła, dołączając do podania już przygotowaną książkę. Publikację z kolorowymi fotkami i obszernymi notkami, z których

wynikało, że panie są bardzo aktywne: dziergają, haftują haftem krzyżykowym, malują, rzeźbią, tańczą, śpiewają, są aktorkami..., no i oczywiście piszą! Skąd o tym wiem? Poproszono mnie, żebym napisał recenzję wydawnictwa. Napisałem. W skrócie: to beznadziejna i totalna grafomania. Zaapelowałem również gorąco, by pod żadnym pozorem tego nie drukować, bo ci, którzy podjęliby taką decyzję, mogliby zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej za wyrzucanie w błoto publicznych pieniędzy. Wśród bezmiaru koszmara radosnego pismaczenia znalazły się jedne wiersze znakomite! Zasugerowałem więc, by wydać indywidualny tomik pani, która naprawdę na to zasługiwała.

Zapomniałem o tym nieistotnym zdarzeniu, gdy po jakimś czasie zostałem zaproszony na spotkanie autorskie w wielkim mieście, w renesansowym pałacu, gdzie przyglądali mi się nie tylko słuchacze, ale i panie z portretów. Po prezentacji stała się rzecz niespotykana – otoczyło mnie kilkadziesiąt wrogo i agresywnie nastawionych leciwych niewiast, a ich przywódczyni z gromami w oczach (i zapewne bronią białą schowaną w staniku) wykrzyczała tylko jedno pytanie, wsparte dramatyczną choreografią: – Dlaczego????!!!

Okazało się, że kierownik wydziału powiedział natrętniej pani prezes, nachodzącej go i żądającej pieniędzy na „poezję”, że nic nie otrzyma, bo recenzja negatywna i koniec kropka. Dla świętego spokoju albo i ze strachu, dał jej też do przeczytania moją opinię.

– Byłam 40 lat polonistką i wiem jak się pisze! – wrzasnęła mi nad uchem jedna.

– A ja piszę lepiej niż Szymborska, bo ona pisała tylko 16 wierszy w ciągu roku, a ja tworzę nawet 20 w ciągu jednego dnia!...

Lawina złorzeczeń, pretensji i gróźb karalnych posypała się na moją siwą głowę z „siłą wodospadu”. Myślałem, że mnie te nawiedzone i rozwydrzone babsztyłe zlinczują! A choć w młodości trenowałem boks (w wadze papierowej niestety), nie miałbym najmniejszych szans.

Człowieka jednak w ekstremalnych warunkach, zagrażających najdosłowniej życiu, stać na wiele. Doznałem olśnienia (może za sprawą samego Ducha Świętego?) i palnąłem płomienną gadkę, uzasadniającą druzgoczącą, krytyczną recenzję, dzięki której złość i nienawiść nieszczęsnych poetess stopniała śniegiem wrzuconym w ognisko. Rozszalałe lwice przemieniły się z wolna w potulne owieczki, wycofujące się chyłkiem z zamkowej komnaty.

Trzecia powiastka też wprost z życia wzięta. Jeśli bym nie znał tej wyjątkowej i wybitnej osobowości, a oceniał jedynie jej późniony debiut, powiedziałbym krótko i bez najmniejszych wątpliwości, iż to czystej wody, rasowa grafomania monstrialnego beztalentia!

(Dokończenie na stronie 11)